

REJESTR DOTYCZY:

BUKOWIŃSKI Mieczysław

s/c i

z d.

± 29 paźdz. 1898 w

kraj:

+ 2 stycznia 1967 w

kraj: ARGENTYNA

pochowany:

nr grobu:

Nr rejestracyjny

396 / 67

Nota zamieszczona:

w tomie I

części pierwszej

I n d e k s

Copyright: 1970

B.O. Jeżewski

Źródła i bibliografia c.d.

znak rozpoznawczy

U w a g i:

LOTNICTWO - płk. pilot. , ofic.techn.

Nota:

Przypisy:

304
/No 249:/ *zowa zmarła*

została w Belgii

pod nekrologiem /K.P.,Bs.As./ 12.1.67/ podpisać Andrzej i
Stanisław Bukowiński - prawdopodobnie synowie zmarłego.
córka ur. 1935 za Belgijczykiem

Źródła i bibliografia:

Kurier Polski w Bs. As., 12.1.67 - nekrolog/
R023. 937.941.948, of.sł.st.aero. bal.,por.1.10.22.
R032.237.836 /# 29.10.1898/
Tydzień Polski 19.7.69 - "Gosc z Rosario" Janina
Surynowa-"yczołkowska

Żółta karta ewidencyjna w Stow.Pol.Lotnikow,Londyn

znak rozpoznawczy

39/12.I.67/
120/23/
120/32/
47/19.VII.69/
434

Ks. kan. A. Gawędzkiemu, Stowarzyszeniu Lotników Polskich,
Tow. "Dom Polski" i Tow. "F. Chopin" w Rosario, i wszystkim
Przyjaciółom i Znajomym, którzy oddali ostatnią posługę

Ś. † p.

Mieczysławowi Bukowińskiemu

składamy serdeczne podziękowania

Halina M. Joachin-Bukowińska
Andrzej i Stanisław Bukowiński

Ś. † p.

Mieczysław Bukowiński

Pułkownik Lotnictwa
i społecznik.

Zmarł 2 stycznia 1967 roku.

Tracimy w Zmarłym wypróbowanego Przyjaciela.

Dzianottowie

GOŚĆ Z ROSARIO

Janina Surynowa-Wyczółkowska

Przeoczytał moją „Koronkową parasolkę“, dowiedział się przez „Wiadomości“ gdzie mieszkamy i napisał serdecznie. W odpowiedzi zaprosiliśmy go z mężem do San Juan również serdecznie, bo też łączyła nas długa znajomość, rwała i odnajdywana niespodziewanie w najtragiczniejszych momentach, bo znów w najszczęśliwszych, to tu, to tam, w Paryżu, Londynie i Buenos Aires.

Mojego męża z Mieciem*) łączyła wieloletnia przyjaźń i koleżeństwo lotnicze. Razem przeżywali w 1 pułku lotniczym na Mokotowie tragiczne dni maja 1926 roku. Razem też później w pamiętnych dniach czerwca 1940 roku uchodzili z ukochanej przez nich Francji, poddającej się przemocy Hitlera. Wreszcie wspólnie przeżyli pierwsze tygodnie pobytu w Anglii, czasu wojny. I wspólnie emigrowali do Argentyny, zagubieni na jej olbrzymich terenach.

Ja pana Miecia pamiętałam z Paryża. Było to w okresie trzyletnich studiów mego męża w tym uroczym mieście (1927-1930). Pamiętam śliczną sylwetkę porucznika w mundurze na odsłonięciu pomnika Mickiewicza na Place Alma. Potem kilkakrotne jego wizyty u nas pod Paryżem w Virofley i w pensjonacie nie daleko Ogrodu Luksemburskiego. Wreszcie jakiś zachwycający moment, flety i w pensjonacie niedaleko kiedy w restauracji polskiej „Pod Strzechą“ na widok gen. Sikorskiego w cywilu dwaj lotnicy polscy, również w cywilu, naraz poderwali się i zasalutowali. Jaką to miało wymowę. Generał był wzruszony.

Potem długo Miecia nie widziałam. Słyszałam, że się ożenił, że ma dzieci. I naraz w obozie w Niemczech w 1945 roku znalazłam się obok ślicznej pani, która tak jak i ja, wezwana przez męża z Polski, przekradła się poprzez żelazną kurtynę w nadziei dostania się z dziećmi do Londynu. Takie chwile zbliżają. Pamiętam, że leżąc na łózkach przegadałyśmy całą noc. Był to śliczny typ kobiety, z uniwersyteckim wykształceniem, miłej i naturalnej. W tym okresie, kiedy setki małżeństw po 6-letniej rozłące (prawie bez lis-

skie, przyjaźnie i wpłynęła na zdobycie wzajemności. Żona jego nie lubiła mordercy, miała do mordercy uprzedzenie. Zdobył ją muzyką. Tak się poznali. I Lilka Pawlikowska w Anglii zawarła z nim przyjaźń, słuchając w ciemnym salonie jego muzyki. I w dniu 1 stycznia, przed dwoma laty, muzyką organową nasz Miecio na nabożeństwie w Rosario pożegnał życie. (W kilka godzin potem już nie żył.)

Ale wtedy, w San Juan, kóż by myślał o śmierci? Rozmawialiśmy godzinami siedząc na czerwonej



Janina Surynowa i pułkownik Mieczysław Bukowiński na lotnisku w San Juan

otomanie. Przez olbrzymie otwarte okna, wpływało ciepłe świeże powietrze, pełne aromatu kwiatów i drzew eukaliptusowych. Aleją przed domem przesuwają się bezszelestnie samochody. Migają światła. Kumkały żaby.

Niekończące się rozmowy ledwie się mogły zmieścić w tych dziesięciu dniach pobytu Miecia u nas: Dzieci? Jego i nasze. Dzieci na emigracji, te urodzone w Polsce. Mowy nie ma, aby się mogły wynarodowić. Jego syn? Zaczął od fotografii, przerzucił się na film. Jego krótkometrażówka otrzymała nagrodę na konkursie w Wenecji. Zarabia. Ojcu zafundował przelot samolotem do Surynów do San Juan. Córka skończyła archi-

ma się z dziećmi o Londynu. Takie chwile zbliżają. Pamiętam, że leżąc na łózkach przegadyaliśmy całą noc. Był to śliczny typ kobiety, z uniwersyteckim wykształceniem, milej i naturalnej. W tym okresie, kiedy setki małżeństw po 6-letniej rozłące (prawie bez listów) rozchodzili się, kiedy byliśmy świadkami rozpaczliwych scen, nieporozumień, rozczerowań, bigamii, lub zerwanych i pokrywanych nieumiejętnie niechęci — w czyszy obozowej usłyszałam że „Miecio był najlepszym z mężów“. Zaraz po przywitaniu poprosił:

— Nie śmiej się ze mnie, ale uklękne i podziękuję Bogu, że ciebie i dzieci odnalazłem. Przysięgam, że tak zrobię i przyrzeczenia dotrzymam“.

Jak pięknie.

Jeszcze potem widziałam ich oboje w Londynie z dziećmi. Ładnych, rozkochanych, szczęśliwych. Teraz już oboje nie żyją.

A więc Miecio odnalazł nas pod Kordylierami i przyleciał samolotem z Buenos Aires. Mam przed sobą wycinek z „Głosu Polskiego“ w którym opisał pobyt u nas, pod tytułem „U Surynów w San Juan“. Opisał, jak na lotnisku u-tonął w szerokich ramionach mego męża. Jak mu dobrze u nas było.

Sypiał na tej naszej czerwonej otomanie. Serdeczny, szczerzy, usługowy, świetnie wychowany — nie robił sobą najinniejszego kłopotu. Wszystko mu się podobało. I miasto i park na wprost domu, i sam dom, i palmy, i mimozy, i rododendrony w naszym ogrodzie. I smakowało mu jedzenie. I wino — to najlepsze z całej Argentyny — sanjuańskie.

Moja Alcira* (służąca) była nim oczarowana. Wszystkie rzeczy składał na swoje miejsce i wysypywał z popielniczek popiół w kuchni do zielonego wiaderka.

Interesowało go wszystko: i praca mego męża i moja pisanina, i zawieszona w gabinecie insygnia lotnicze, i reprodukcje obrazów stryja mego, Leona Wyczółkowskiego. I miasto nasze mu przypadło do gustu swoją nowoczesnością, czystością i zielenią na tle pasma Kordylierów. Lubił jeździć naszym czerwonym „izardem“ nad przepaściami, w szumie górskich strumieni, wśród zielonych winnic, pod zawsze szafirowym niebem bez chmurki. W niedzielę jeździliśmy do kościoła. Żałował, że nie może grać na organach. Bo Miecio grał pięknie. I muzyka stanowiła dopełnienie jego życia. Ulatwiała mu stosunki towarzy-

skie. Mowy nie ma, aby się mogli wynarodowić. Jego syn? Zaczął od fotografii, przerzucił się na film. Jego krótkometrażówka otrzymała nagrodę na konkursie w Wencji. Zarabia. Ojcu zafundował przelot samolotem do Surynów do San Juan. Córką skończyła architekturę, w Stanach; na dalszych studiach poznała Belga. Wychodzi za mąż, będzie mieszkała w Europie. Zaprasza ojca. (Miecio nie oczekiwał tej chwili powrotu na łono Europy, za którą tęsknił).

My opowiadaliśmy o naszych dzieciach. Zięć, prawnik, nie nosy tryfikował dyplomu, ale ze znajomością sześciu języków świetnie sobie daje radę. Jest administratorem centrum kilku obserwatoriów astronomicznych w Andach, pod jednym z najwyższych szczytów, Mercedario. Oboje z córką dziwne pędzą życie wśród skał i ludzi zapatrzonych w niebo. Zjeżdżają do nich najwybitniejsze jednostki z całego świata. I ten kontakt jest dla nich obojga szalenie interesujący. Dwa razy w miesiącu przyjeżdżają do San Juan. Wnuk za to jest tu stale i przysłuchuje się naszym rozmowom, patrząc na nas jakże bardzo polskimi niebieskimi oczami. Miecio bardzo polubił naszego wnusia. Pisał potem w „Głosie Polskim“:

„Szybko mijał pobyt, urozmaicony codziennymi wycieczkami samochodowymi w góry. Byłem świadkiem spotkań z młodzieżą pana profesora“. — (Mój mąż był reprezentantem „Cultura Britanica“ i miał instytut, w którym wykładał angielski i wydawał patenty, dające duże możliwości w otrzymaniu posad i stanowisk nauczyielskich). „Byliśmy też na filmach w kinach pod gwiazdzystym niebem. Bardzo mi przypadł do gustu ten sposób oglądania filmów pośród kwiatów i szmeru fontanny oświetlonej od wewnątrz. A w domu u Surynów, w serdecznej atmosferze czułem się jak w rodzinie. Kiedy przyszedł moment pożegnania na lotnisku — odruchowo pocałowaliśmy się z panią Janiną tak, jak się żegnają prawdziwi przyjaciele. Znowu się znalazłem w szerokich ramionach Romana i szybko — pokrywając wzruszenie — wbiegłem na schodki samolotu“.

Już go nigdy nie mieliśmy zobaczyć. Umarł w dwa lata potem. Mój mąż też już nie żyje. Nasz dom muszę sprzedać. I nie ma już czerwonego „izarda“, na którym któryś widzę ręce mego męża.

Wymierają ludzie z czerwonej otomany. I ciężko jest się z tym pogodzić.

*) Pułkownik Mieczysław Bukowiński.